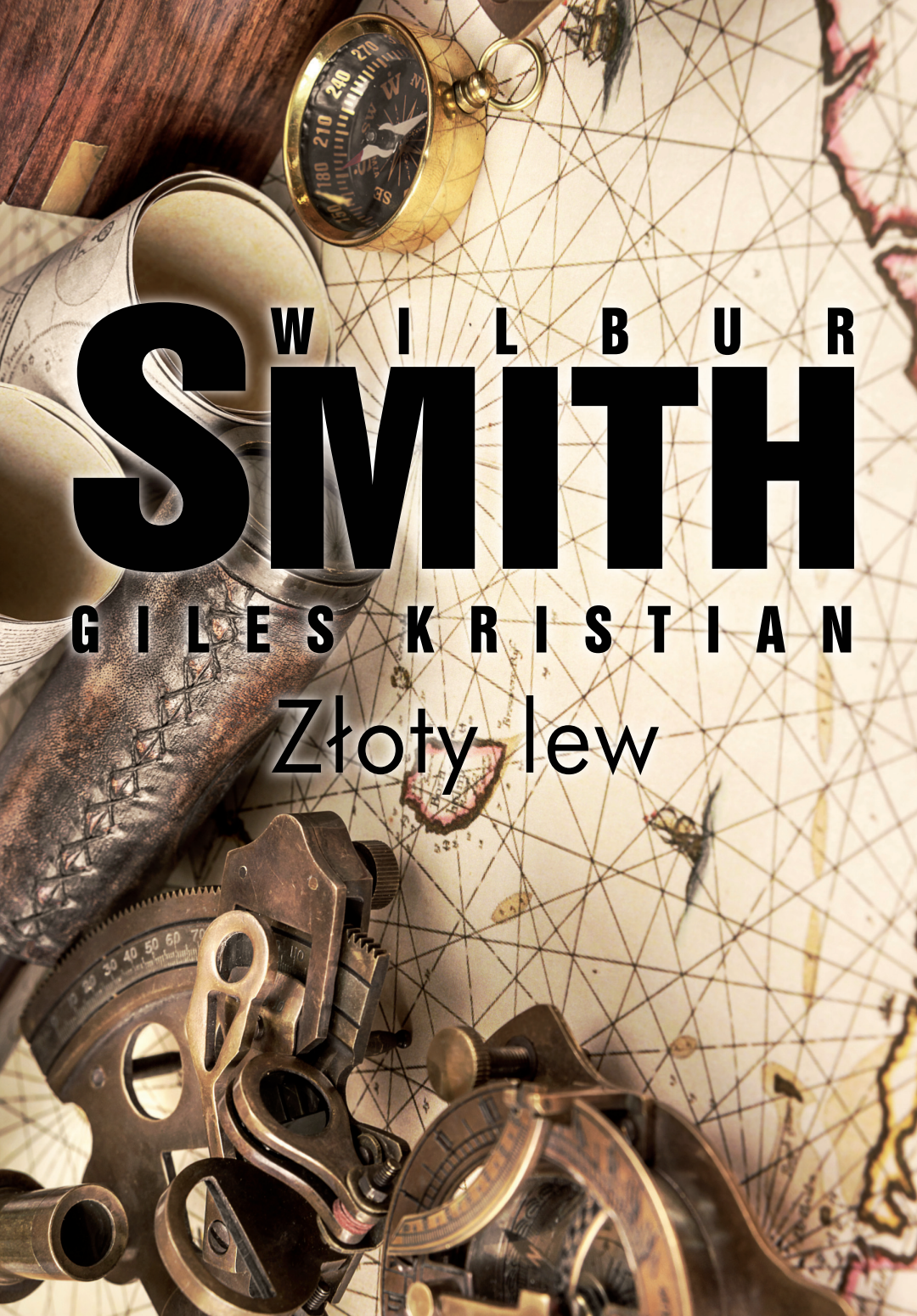


A collage of vintage navigational instruments including a brass compass, a sextant, and a telescope, resting on an old map. The title 'WILBUR SMITH' is overlaid in large, bold, black letters.

WILBUR SMITH

G I L E S K R I S T I A N

Złoty lew

Już nie byli ludźmi. Byli odpadkami wojny wyrzuconymi przez Ocean Indyjski na czerwone piaski kontynentu afrykańskiego. Ciała większości z nich były poszarpane przez kartacze albo porąbane ostrą bronią przeciwników. Inni utonęli i gazy gnilne w rozdętych brzuchach wyniosły ich z powrotem na powierzchnię, gdzie podskakiwali jak korki. Padlinożerne ptaki i rekiny miały istną ucztę. Nieliczni zostali wyrzuceni przez łamiące się fale na plażę, gdzie z kolei czekały ludzkie drapieżniki, żeby ich obłupić.

Dwóch małych chłopców biegło przed matką i babką wzdłuż skraju wody, piszcząc z podniecenia za każdym razem, gdy odkrywali cokolwiek wyrzuconego przez morze, bez względu na to, czy miało to jakąkolwiek wartość.

– Następnym! – zawołał radośnie starszy z chłopców po somalijsku. Wskazał drzewce masztu z długim kawałkiem podartego żagla. Na piasku leżał biały człowiek, przywiązany do drzewca kawałkiem konopnej liny. Chłopcy stanęli nad trupem i zaśmiewali się.

– Ptaki wydziobały mu oko! – krzyknął starszy.

– A ryby odgryzły rękę – dodał młodszy, żeby nie być gorszy. Pas płótna żaglowego był okręcony wokół kikuta jak opaska uciskowa, najwyraźniej założona wtedy, gdy mężczyzna jeszcze żył. Jego wychudłe ciało okrywały strzępy poczerńiałego od ognia ubrania.

– Patrz! – wrzasnął starszy chłopak. – Spójrz na sprzączkę na jego pasie. Pewnie jest ze złota albo srebra. Będziemy bogaci. – Ukląkł obok zwłok i szarpnął metalową sprzączkę.

Nagle rzekomo martwy mężczyzna głucho jęknął, przekręcił głowę i jedynym okiem łypnął gniewnie na chłopców. Obaj wrzasnęli z przerażenia, starszy puścił pas i skoczył na równe nogi. Pobiegli do matki i zawodząc z przerażenia, uczepili się jej spódnicy.

Ta, wlokąc za sobą dzieci, podbiegła, żeby obejrzyć łupy. Babka kuśtykała za nimi. Jej córka uklękła obok ciała i mocno uderzyła mężczyznę w twarz. Znowu jęknął.

– Zinky ma rację. Ferengi jeszcze żyje. – Sięgnęła do kieszeni koszuli i wyjęła sierp, którym ścinała trawę dla kurczaków.

– Co chcesz zrobić? – Jej matka sapała po biegu.

– Poderżnąć mu gardło, to chyba jasne. – Kobieta chwyciła mężczyznę za włosy i pociągnęła głowę, żeby odsłonić szyję.

– Przecież nie chcemy się z nim kłócić o sprzączkę przy pasie.

– Przyłożyła zakrzywione ostrze do boku szyi i mężczyzna słabo zakaszał, ale nie stawiał oporu.

– Czekaj! – rozkazała ostro babka. – Widziałam tę sprzączkę, kiedy byłam z twoim ojcem w Dżibuti. Ten

człowiek jest wielkim panem Ferengi. Jest właścicielem statku. Ma ogromne bogactwa. Jeśli ocalimy mu życie, będzie wdzięczny i może da nam złotą monetę albo nawet dwie!

Córka z powątpiewającą miną przez chwilę rozważała propozycję; wciąż trzymała sierp przy gardle.

– A co będzie z tą piękną metalową sprzączką o wielkiej wartości?

– Zatrzymamy ją, oczywiście. – Matka była wyraźnie zirytowana jej głupotą. – Jeśli o nią zapyta, powiemy mu, że nigdy jej nie widziałyśmy.

Córka odsunęła sierp od szyi.

– No to co teraz z nim zrobimy?

– Zabierzemy go do medyka w wiosce.

– Jak?

– Położymy go na tym pasie *lembu*. – Babka wskazała płótno owinięte wokół drzewca. Odwróciła się i surowo spojrzała na wnuków. – Oczywiście chłopcy nam pomogą.

Mężczyzna wrzeszczał w duchu. Struny głosowe miał tak wysuszone, popękane i uszkodzone przez dym i płomień, że jedynym dźwiękiem płynącym z jego ust było żalosne, piskliwe, drżące poświstywanie, jakby powietrze uciekało z dwóch zepsutych miechów.

Był taki czas, zaledwie dwa miesiące temu, kiedy stawiał czoło sztormowi i z dziką radością szczyrzył zęby w uśmiechu, gdy wiatr i rozpylona woda morska uderzały w jego ogorzałą twarz. Teraz jednak, czując ciepły, pachnący jaśminem

powiew, który leniwie wpływał do pokoju przez otwarte okna, miał wrażenie, że ciernie drapią żalose strzepy jego skóry. Cierpiał katusze i choć medyk zdejmował bandaż z jego twarzy z nadzwyczajną delikatnością, przy każdym kolejnym calu odsłoniętego ciała dźgał go następny ostry jak igła sztylet czystego, dojmującego bólu. I z każdym ciosem napływały nowe niechciane wspomnienia bitwy: palący żar i jasność płomieni; ogłuszający ryk armat i płonącego drewna; miażdżący ciężar belki na kościach.

– Przykro mi, ale nic innego nie można zrobić – mruknął medyk, chociaż człowiek, do którego mówił, niewiele rozumiał po arabsku.

Medyk miał rzadką srebrną brodę i ciężkie ziemiste worki pod oczami. Leczył ludzi przez większą część swego pięćdziesięcioletniego życia i zyskał aurę mądrości i dostojęstwa, która uspokajała i podnosiła na duchu większość jego pacjentów. Ale ten człowiek był inny. Odniósł tak poważne obrażenia, że właściwie nie miał prawa żyć, a cóż dopiero siedzieć prosto na łóżku. Stracił jedną rękę i tylko Allah litościwy wiedział, jak to się stało. Klatka piersiowa po tej samej stronie przypominała beczkę wgniecioną toporem bojowym. Skóra była poparzona i pokryta bąblami. Zapach kwiatów, które w takiej obfitości rosły pod otwartym oknem, nikł w odorze spalonego ciała, a także w wydzielanym przez nie przyprawiającym o mdłości smrodzie ropy i rozkładu.

Ogień nie oszczędził kończyn. Dwa palce ocalałej ręki

przemieniły się w poczerniałe kości; medyk odciął je, podobnie jak sześć palców stóp. Mężczyzna stracił lewe oko, wydziobane przez sępy. Prawie cała powieka drugiego spłonęła i teraz patrzył na świat z zimnym nieruchomym skupieniem. Upośledzenie wzroku nie było najgorszą z poniesionych przez niego strat; jego męskość została zredukowana do zwęglonego kikuta lśniącej, sinej tkanki bliznowatej. Kiedy – albo raczej jeśli – wstanie ze swojego łoża boleści, będzie musiał kucać jak kobieta, żeby oddać mocz. Jeżeli będzie chciał zaspokoić kochankę, pozostanie mu zrobić to ustami, chociaż szanse, że jakaś kobieta pozwoli mu zbliżyć wargi do swojego ciała, nawet za pieniądze, były znikome.

Możliwe, że ten człowiek przeżył tylko za sprawą woli boskiej. Medyk westchnął i pokręcił głową, przyglądając się ruinie odsłoniętej twarzy. Nie, taka potworność nie mogła być dziełem Allaha, wszechmogącego i miłosiernego. To musiało być dzieło szejtana, diabła we własnej osobie, i siedzący przez nim potwór z pewnością wyglądał nie lepiej niż ucieleśnienie demona.

Dla medyka zgaszenie życia tej szatańskiej istoty, która kiedyś była człowiekiem, byłoby kwestią chwili. Robiąc to, zapobiegłby koszmarom, jakie ten potwór z pewnością spowoduje, jeśli pozwoli mu się błąkać po świecie. Miał słodką, gęstą jak syrop tynkturę, która uśmierzyłaby ból nękający mężczyznę, po czym go uśpiła, a następnie z delikatnością dotyku kobiecej ręki na zawsze zatrzymała jego serce. Ale sam maharadza Sadyk Chan Jahan przysłał z Etiopii wiadomość, że tego człowieka należy dostarczyć do

jego prywatnej rezydencji na Zanzibarze i otaczać nadzwyczajną troską.

Jahan zaznaczył, że przeżycie pożaru, amputacji ręki, utraty oka, długiego czasu spędzonego w morzu i wielu godzin albo dni w palących promieniach słońca, zanim miejscowe dzieci znalazły go na plaży, musiało być aktem opatrności boskiej.

Dodał, że jeśli pacjent przeżyje, jego uzdrowiciel zostanie hojnie wynagrodzony, lecz jeśli umrze, spotka go surowa kara. Medyk wiele już razy dyskretnie skracał cierpienia pacjentów, uwalniając ich od udręki, ale ten człowiek z całą pewnością do nich nie należał. Ten człowiek będzie żył. A on musiał się o to postarać.

Mężczyzna nie tyle widział, ile odbierał wrażenie migotania światła. Po każdym obrocie ręki lekarza wokół jego głowy, gdy ubywała kolejna warstwa bandaża, światło stawało się coraz jaśniejsze. Uświadomił sobie, że blask dociera do niego tylko przez prawe oko. Lewe było ślepe, ale wciąż czuł jego obecność, jakby padło ofiarą ataku dokuczliwego swędzenia. Próbował mrugnąć, lecz zareagowała tylko prawa powieka. Uniósł lewą rękę, żeby potrzeć oko, ale ręki nie było. Na sekundę zapomniał, że stracił ją dawno temu. Gdy tylko sobie o tym przypomniał, natychmiast poczuł nieprzyjemne łaskotanie kikuta. Uniósł prawą rękę, ale nagle unieruchomiła ją silna, sucha, koścista dłoń i znowu usłyszał głos medyka. Nie rozumiał ani słowa, chociaż ogólne znaczenie było dość

jasne; nawet o tym nie myśl.

Poczuł chłodny kompres na oczach, nieco łagodzący swędzenie. Gdy został zdjęty, powoli odzyskał wzrok. Zobaczył okno i za nim błękit nieba. Pochylał się nad nim podstarzały Arab w białych szatach i turbanie, jedną ręką rozwijając bandaż i zbierając go drugą. Dwie ręce, dziesięć palców; dziwnie było patrzeć na nie z taką zazdrością.

W pokoju był jeszcze ktoś, znacznie młodszy mężczyzna stojący za plecami medyka. Delikatność jego rysów i odcień skóry mówiły o Indiach, ale nosił białą bawełnianą koszulę skrojoną w europejskim stylu, wetkniętą w spodnie. Musiał mieć w żyłach domieszkę krwi białych, bo azjatycki brąz jego skóry został rozjaśniony przez bladoróżowy odcień.

Mężczyzna siedzący na łóżku spojrzał na niego i spróbował zapytać: „Mówisz po angielsku?”.

Ale słów nie było słyhać. Głos był ledwie szeptem. Mężczyzna skinął złamanym palcem prawej ręki, kazując mieszkańcowi podejść bliżej. Ten posłuchał; wyraźnie dokładał starań, żeby nie okazać głębokiej odrazy, gdy zbliżał się do okaleczonego człowieka.

– Mówisz po angielsku? – powtórzył mężczyzna.

– Tak, panie.

– W takim razie powiedz temu parszywemu Arabowi... – Urwał, żeby zaczerpnąć tchu. Skrzywił się, gdy w jego spustoszonych przez dym i płomień płucach zarzęziło. – Niech przestanie się tak cholernie cackać z tymi bandażami. – Po kolejnym oddechu nastąpiło krótkie, ostre sapnięcie z bólu. – I po prostu ściągnie to cholerstwo.

Młodzieniec przełożył jego słowa i tempo zdejmowania bandaża znacząco wzrosło. Ręce medyka stały się bardziej szorstkie, gdy przestał zawracać sobie głowę subtelnościami. Najwyraźniej tłumaczenie było dosłowne.

Ból się nasilił, ale mężczyzna na łóżku zaczynał odczuwać perwersyjną przyjemność ze swojego cierpienia. Zdecydował, że ból jest siłą – nieróżniącą się od wiatru czy morza – z którą może się zmierzyć i wygrać. Nie zostanie przez nią pokonany. Czekał, aż z jego głowy zostanie zdarty ostatni strzęp cuchnącego płótna, lepkiego od krwi i strzępów skóry, i wtedy powiedział:

– Każ mu przynieść lustro.

Młodzieniec szeroko otworzył oczy i zwrócił się do medyka, ale ten pokręcił głową i zaczął szybko trąkotać znacznie wyższym głosem. Młody człowiek wyraźnie miał kłopoty ze zrozumieniem. W końcu wzruszył ramionami, zamachał rękami w geście rozdrażnienia i porażki, po czym wrócił do łóżka.

– Mówi, panie, że tego nie robi.

– Jak masz na imię, chłopcze? – zapytał ranny mężczyzna.

– Althuda, panie.

– Słuchaj, Althudo, powiedz temu upartemu sukinsynowi, że jestem znajomym... nie, towarzyszem broni Ahmeda El Granga, króla Omańczyków, a także maharadży Sadyka Chana Jahana, młodszego brata samego Wielkiego Mogoła. Powiedz mu, że obaj cenią wyświadczone im przeze mnie przysługi i poczują się niezmiernie obrażeni, jeśli usłyszą, że jakiś chuderlawy stary rzeźnik odmawia spełnienia mojej

prośby. A potem mu powiedz, po raz drugi, żeby przyniósł to cholerne lustro.

Mężczyzna opadł na poduszki, wyczerpany swoją diatrybą, i patrzył, jak mieszaniec przekazuje jego słowa medykowi, którego postawa zmieniła się, jakby uległ jakimś czarom. Arab zgiął się w uniżonym ukłonie, przemknął przez izbę z prędkością imponującą u tak sędziwego człowieka i wrócił znacznie wolniej z dużym owalnym zwierciadłem w jaskrawej mozaikowej ramie. Lustro było ciężkie, więc potrzebował pomocy Alhudy, żeby trzymać je nad łóżkiem pod takim kątem, aby pacjent mógł się w nim przejrzeć.

Przez chwilę mężczyzna był zszokowany tym, co zobaczył. Tęczęwka ślepego oka stała się martwą plamą błękitu otoczoną kulą przekrwionej bieli. Przez makabryczną dziurę wypaloną w policzku pod okiem, dużą jak kobieca pięść, było widać kość szczęki i zęby. Włosy zostały spalone z wyjątkiem jednej małej rudej kępkki tuż nad prawym uchem. Skórę czaszki pokrywały strupy i otwarte rany. Wyglądał jak trup, który dwa tygodnie leżał w ziemi. Ale może właśnie tak powinien wyglądać, pomyślał, w zasadzie bowiem już nie żył. Kiedyś miał ogromny apetyt na życie. Nurzał się w przyjemnościach, pił, chędożył, grał, walczył, brał wszystko, co mu wpadło w ręce. Teraz jego ciało przemieniło się w ruinę, a serce stało się zimne jak grób. A jednak nie wszystko przepadło. Miał w sobie siłę, która, jak czuł, wzrastała, żeby zastąpić jego dawne żądze i impulsy. Była potężna niczym wielka wezbrana rzeka, niosąca nie wodę, lecz żółć. Zalewała go powódź gniewu, goryczy, nienawiści i przede wszystkim przemożnego

pragnienia zemsty na człowieku, który doprowadził go do tego żałosnego stanu.

Wbił w Althudę zdrowe oko i powiedział:

– Pytałem cię o imię, ale czy ty znasz moje?

– Nie, panie.

Grymas wykrzywił twarz mężczyzny w upiornej parodii uśmiechu.

– W takim razie ci powiem. Nazywam się Angus Cochran. Jestem dumnym Szkotem i noszę tytuł hrabiego Kumbrii.

Chłopiec, rozpoznając nazwisko, z przerażenia szeroko otworzył oczy.

– Jesteś... Jesteś tym, którego ludzie zwą Myszołowem – szepnął.

– Tak. A skoro to wiesz, może też słyszałeś o sprawcy mojego nieszczęścia, o zarozumiałym angielskim młokosie znanym jako Hal Courtney. Hm... widzę, że to też brzmi znajomo, prawda?

– Tak, panie.

– W takim razie coś ci powiem, chłopcze. Zamierzam znaleźć Courtneya bez względu na to, ile czasu mi to zajmie i jak daleko będę się musiał udać. Zamierzam położyć go trupem i pławić się w jego krwi.

Bitwa na Płaskowyżu Kebassa w północno-wschodniej Etiopii trwała od świtu po ostatnie światło dnia. Teraz jej zgiełk ucichł, zastąpiony przez triumfalne okrzyki zwycięzców, rozpaczliwe błaganie pokonanych wrogów o łaskę, żalosne prośby rannych o wodę albo, jeśli czyjś koniec był bliski, o matkę. Armia etiopskich chrześcijan zadała третią i tym razem druzgoczącą klęskę muzułmańskiej czeredzie, która została zebrana na rozkaz samego Wielkiego Mogoła, żeby najechać ich ziemie. Radość z dwóch pierwszych zwycięstw była przedwczesna i zrodzone przez nie poczucie bezpieczeństwa szybko okazało się złudne. Ale to zwycięstwo było ostateczne i nie budziło najmniejszych wątpliwości. Siły wroga zostały rozgromione na lądzie, a statki z posiłkami i zaopatrzeniem, które ośmieliły się przeprawić przez Morze Czerwone z Adenu na wybrzeża Erytrei, zostały zatopione przez okręt, który samodzielnie władał tymi wodami, angielską fregatę *Złotą Gałąź*. Okręt miał upoważnienie do

żeglowania w pogoni za zyskiem. Kapitan dowodził nim w służbie wolności, a także ochrony najważniejszej relikwii w Etiopii i wręcz w całym świecie chrześcijańskim: Tabernakulum, w którym Żydzi przenosili kamienne tablice zniesione przez Mojżesza z góry Syjon i gdzie podobno znajdował się sam Święty Graal.

Za liniami etiopskimi wznosił się wielki namiot. Na straży u jego wejście stała kompania wojowników w stalowych hełmach i napierśnikach. Wewnątrz wisiały cenne gobeliny przedstawiające sceny z życia Chrystusa. Zostały utkane z jedwabiu i w migotliwym blasku tuzina płonących pochodni i niezliczonych świec ich kolory połyskiwały niczym szlachetne kamienie, podczas gdy aureola wokół głowy Zbawiciela lśniła niemi ze szczerego złota.

Pośrodku namiotu stał duży stół z makiętą pola bitwy i okolicznych terenów. Wzgórza zostały oddane w wiernych topograficznych szczegółach; strumienie, rzeki i jeziora były niebieskie, podobnie jak skraj makiety, ponieważ obrazował morze. Misternie wyrzeźbione figurki piechurów, jeźdźców i armat symbolizowały jednostki piechoty, kawalerii i artylerii po obu stronach linii frontu. Z samego rana ustawiono je w taki sposób, żeby idealnie odzwierciedlały rozlokowanie dwóch armii, ale teraz większość figurek sił arabskich leżała przewrócona albo została usunięta ze stołu.

W namiocie panowała stonowana atmosfera. Wysoki, imponujący mężczyzna w szatach duchownego rozmawiał z grupą starszych oficerów. Jego siwa broda spływała niemal do kolan, a klatka piersiowa była przyozdobiona złotymi

krzyżami i różańcami, a także medalami i insygniami rangi. Niski pomruk męskich głosów kontrastował z wysokimi piskami podekscytowania i zadowolenia płynącymi z sąsiedztwa stołu.

– Trach! Trach! Bierz to! – krzyczał mały chłopiec. W ręce trzymał figurkę etiopskiego kawalerzysty siedzącego na potężnym ogierze i machał nią nad narożnikiem stołu, przewracając figurki Arabów, które jeszcze ostały się po bitwie.

Strażnik odchylił skrzydło namiotu i wpuścił żołnierza w kolczudze i białym płóciennym kaftanie, który najwyraźniej zaprojektowano bardziej dla podkreślenia szczupłej, gibkiej sylwetki niż dla zapewnienia jakiegokolwiek ochrony.

– Generał Nazet! – krzyknął chłopiec, ciskając żołnierzyka. Pobiegł po dywan, żeby się rzucić na zakute w stal nogi, na których wciąż połyskiwały wilgotne szkarłatne bryzgi krwi wroga. Ścisnął nogi generała tak mocno, jakby się tulił do miękkiego łona matki.

Przybysz zdjął hełm z pióropuszem, odsłaniając gęste czarne włosy. Gdy szybko potrząsnął głową, kędziory jakby ożyły, tworząc puszysty krąg. Złoty blask świec podkreślił nieprawdopodobne podobieństwo jego włosów do aureoli na pobliskich gobelinach. Na gładkiej bursztynowej twarzy z wąskim, niemal filigranowym nosem i delikatnym zarysem szczęki nie było śladu potu czy brudu.

– Wasza Wysokość, mam zaszczyt cię powiadomić, że twoja armia odniosła ostateczne zwycięstwo – oznajmiła generał Nazet, a w jej łagodnym, cichym głosie nie było nuty napięcia czy zmęczenia. – Wróg został rozgromiony, jego siły

są w odwrocie.

Jego Chrześcijańska Wysokość, Ijasu, Król Królów, Władca Galli i Amhary, Obrońca Wiary Chrystusa Ukrzyżowanego, puścił nogi kobiety generała, cofnął się o krok, po czym zaczął skakać, klaszcząc w ręce i krzycząc z radości. Wojskowi podeszli i pogratulowali swojej towarzyszce w bardziej powściągliwy sposób – uściskami dłoni i poklepywaniem po ramieniu, natomiast ksiądz udzielił jej błogosławieństwa i zmówił dziękczynną modlitwę.

Generał Nazet przyjęła podziękowania ze spokojnym wdziękiem.

– A teraz, Wasza Wysokość, chciałabym prosić o uprzejmość. Już wcześniej zrezygnowałam ze stanowiska dowódcy twoich sił zbrojnych, ale okoliczności się zmieniły. Cesarz i kraj mnie potrzebowali i sumienie nie pozwoliło mi odwrócić się plecami do obowiązku. Dlatego włożyłam zbroję i po raz kolejny podniosłam miecz. Byłam żołnierzem i wypełniałam twoje rozkazy. Ale jestem również kobietą, Wasza Wysokość, i należę do innego mężczyzny. Pozwolił mi wrócić do twojej służby, a teraz za twoją zgodą chciałabym wrócić do niego.

Chłopiec patrzył na nią i w zadumie ściągnął brwi.

– Czy tym mężczyzną jest kapitan Courtney? – zapytał.

– Tak, Wasza Wysokość – odparła Judith Nazet.

– Anglik o dziwnych oczach, które są zielone jak liście na drzewie?

– Tak, Wasza Wysokość. Pamiętasz, że przyjąłeś go do Zakonu Złotego Lwa Etiopii w nagrodę za odwagę i służbę

naszemu narodowi?

– Tak, pamiętam – odparł chłopiec niespodziewanie smutnym głosem. – Zamierzacie zostać mamą i tatą? – zapytał. Ściągnął i przekrzywił usta, próbując zrozumieć, dlaczego nagle poczuł się bardzo nieszczęśliwy. – Może oboje z kapitanem Courtneyem zamieszkacie w pałacu i będziecie dla mnie jak mama i tata?

– Wasza Wysokość, naprawdę nie sędzę, żeby... – zaczął duchowny.

Chłopiec jednak nie słuchał. Całą uwagę skupiał na Judith Nazet, która przykucnęła i wyciągnęła do niego ręce. Znowu do niej podszedł, tym razem jak dziecko do matki, objął ją i złożył głowę na jej ramieniu.

– Już dobrze – szepnęła. – Nie martw się. Chciałbyś zobaczyć statek kapitana Courtneya?

Bez słowa pokiwał głową.

– Może będziesz mógł wystrzelić z armaty. Byłoby zabawnie, prawda?

Ijasu skinął głową wspartą na jej ramieniu i oderwał twarz od fałdów kaftana. Spojrzał na Judith i cicho zapytał:

– Odpłyniesz z kapitanem Courtneyem, prawda?

– Tak.

– Nie odchodź, proszę – powiedział, po czym z rozpaczliwą determinacją krzyknął: – Rozkazuję ci zostać! Musisz mnie słuchać! Powiedziałaś, że musisz!

Tama pękła i ze szlochem padł na jej ramię. Duchowny zrobił krok w stronę swojego młodego pana, ale Judith uniosła rękę.

– Chwileczkę, biskupie. Ja się tym zajmę.

Pozwoliła Ijasu się wypłakać. W końcu chłopiec się uspokoił i wytarł oczy i nos w jej kaftan.

– Wiesz, że bardzo cię lubię, Wasza Wysokość – odezwała się.

– Wiem.

– I jeśli nawet odejdę, bez względu na to jak daleko, zawsze będę cię lubić i o tobie pamiętać. I pomyśl, jeśli pojadę do krajów tak odległych jak Anglia czy Francja, będę pisać i opowiadać ci o wszystkich cudownych rzeczach, które tam zobaczę.

– Obiecujesz do mnie pisać?

– Daję ci słowo żołnierza, Wasza Wysokość.

– A gdy wejdę na okręt, kapitan Courtney pozwoli mi strzelić z armaty?

– Rozkażę mu to zrobić. Ponieważ jestem generałem, a on tylko kapitanem, będzie mnie musiał posłuchać.

Cesarz Ijasu po chwili namysłu westchnął z zadumą, odwrócił się od Judith.

– Biskupie Fasilidesie, racz, proszę, powiedzieć generał Nazet, że ma moją zgodę na wyjazd.